



Jarosław Kozakiewicz

Sygnatura notacji: **N0282**

Data urodzenia: **11.11.1929 r.**

Data nagrania: **12.01.2010 r.**

Miejsce nagrania: **plebania, Zielona Góra, Polska**

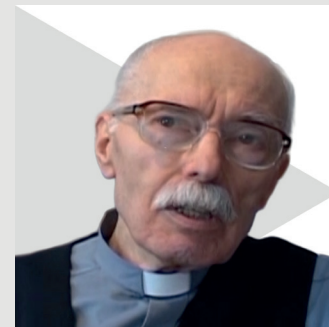
Prowadząca/y rozmowę: **Michał Kurkiewicz**

Czas nagrania: **część I : 58 min, część II: 80 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**

część I z II



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jarosław Kozakiewicz: Jestem księdzem, nazywam się Jarosław Kozakiewicz. Urodziłem się w Grodnie 11 listopada 1929 roku. Chodziliśmy z bratem starszym i młodszym do szkoły, tak zwanej Batorówki. Jak się rozpoczęła wojna, miałem 10 lat. Chodziłem tydzień czasu do piątej klasy razem z bratem. Potem dyrektor powiedział, że już nie będzie lekcji, bo wojna. Myśmy słyszeli wybuchy, jak Sowieci szli na Grodno i jak się rozpoczęła ta wojna. Tatuś przyjechał, bo w Lidzie elektryfikował koszary, które miały powstać, bo tam zakładano lotnisko. Mój stryjek, czyli brat ojca był lotnikiem. Przyjechał w nocy i mówi, że rozpoczęła się wojna. I położył się, mieliśmy taki domek, nie wszedł nawet do domu, tylko połączył się na werandzie. Na werandzie była taka kozetka, i na tej kozetce się położył, a myśmy z bratem starszym, Ryśkiem, świętej pamięci, poszliśmy rwać trawę, koniczynę dla królików, mieliśmy króliki. No, i trzeba było narwać na całą wojnę. Przecież jako dzieci, to myśmy nie wiedzieli, że ona będzie trwała pięć lat. I kiedy rwaliliśmy tę koniczynę, nadleciały samoloty. Samoloty niemieckie. Był to pierwszy piątek miesiąca, 1 września. I zaczęli bombardować Grodno. Bomby pierwsze upadły 300 m od naszego domu. Trzy bomby, bo tam baon [batalion] pancerny i oni tam zrobili taki nowoczesny, jakiś nowoczesny, taki dom cały w szkłe i tam reperowali te czołgi czy coś robili z tymi czołgami. No właśnie w to trafili. Mieli dobre rozeznanie widać. A potem się okazało, że jeden z podoficerów był szpiegiem w tym baonie pancernym. Nawet z jego dzieci myśmy się kolegowali. Potem przyszli Sowieci. Straszne rzeczy działy się. Działy się straszne rzeczy. Pod Grodnem od strony wschodniej był wielki plac. Naturalnie obrosnięty trawą, tam nawet w czasie okupacji niemieckiej paśliśmy swoje krowy. Mieliśmy krowy. Moja mama miała taki mały majątek, folwark, jak to się nazywało przed wojną. I prosiła brata swojego stryjecznego, żeby przyprzewadził krowę. A tu było pięć kilometrów od Grodna i tę krowę prowadził trzy dni. Ale żeby nie ta krowa, to byśmy umarli z głodu. Pomogła nam żyć. Trzeba było ją paść gdzieś, bo to przecież w mieście nie ma gdzie. Ja jako taki

byłem kucharz w domu, bo mamę zabrali do pracy, ojcu zamknęli zakład, miał zakład elektro-techniczny. Zamknęli zakład, zabrali go do roboty. I pracował u jakiegoś starego Niemca, który ze Niemnem zrobił sobie taką – my to nazywaliśmy fabryczką – ale taki zakład, kupował, przywoził stare narzędzia z Niemiec, narzędzia rolnicze, tam reperowali te narzędzia i sprzedawał Polakom, polskim rolnikom. I kiedyś było tak, że... Przyniosłem ojcu obiad. A ojciec, wziął te kanapki, coś tam wsadził do kanapek, i mów tak: wiesz co, zanieść do domu i w kuchni, w tej szafie, co jest w ścianie, połóż te kanapki. Jak to położyłem, potem się okazało, że u tego Niemca wprowadzili jakąś maszynę, a przy maszynie stał żołnierz z karabinem i oni tam robili jakąś część, jakąś małą część. I tą część, jakoś ojciec skombinował i w ten chleb włożył. Ponieważ wszystko i cała rodzina prawie była w AK, wysłali to do Londynu, i okazało się, że to jest jakaś jedna część z V2. Nie minęło tydzień czasu, zbombardowali mu całą tę fabryczkę. Mało tego, jeszcze tam domy pobombardowali. I ojciec tam pojechał do niego, a on siedzi i płacze. I klnie tego Hitlera, na czym świat stoi. A ojciec mówi do niego: „To trzeba było nie pozwolić”. – „Tak, nie pozwolić, to by mnie rozstrzelali”. W 1939 roku Grodno broniło się przed Sowiecami 3 dni. Mój ojciec był na obronie Grodna. Bronił koszar POW, które były na ulicy Jerozolimskiej. Na vis-à-vis tych koszar był szpital żydowski. I ojciec opowiadał, że z tego szpitala żydowskiego strzelali z karabinu maszynowego [niezrozumiałe]. Więc oni w nocy przeszli ten wąwóz, bo tam olbrzymi wąwóz był, i nagle się tam okazało, że tam trzech Żydów. Trzech Żydów do nich strzelało z karabinu ręcznego maszynowego. Jednego nawet znał. Więc jak to ojciec mówił: „Ich tam rozwalili, zabrali ten karabin, to potem się przyda”. I wracał z powrotem już do domu, a miał na obronie były takie karabiny, które mieli kawalerzyści. I oni mieli te krótkie, takie Mausery, nie te długie, tylko te krótkie, i to nazywali Mausery kawaleryjskie. Ojciec właśnie miał taki, wsadził do spodni, i przyszedł z tym karabinem. My patrzymy przez okno, że ojciec kuleje: „Boże kochany, ranny jest!”. A ojciec kuleje, bo nie mógł zgiąć. No, więc przyszedł też z tym karabinem. Mama, jak zobaczyła, owinęła go w szalik i wrzuciła do stawu. Potem myśmy to wyjęli i przydał nam się. Na ulicy Ruchowej, czy jak ona się nazywała, na Pohulance zaczęły się palić dwa domy, jak Sowietci szli.. No i ci ludzie uciekli. A przy drodze... Idziemy z jednej strony szosy, z drugiej strony ulicy, były tam..., my to nazywaliśmy prochownie, składy amunicji. I oni uciekli pod te składy amunicji. Ci ludzie z tym swoim dobytkiem, co złapali na..., bo to były wszystkie domy drewniane, to raz dwa się paliło. Mimo że stały oddzielnie, bo każdy miał tam ogródek, sad jakiś. Na tej drodze do tej drugiej prochowni, na dole byli obrońcy Grodna i z karabinu maszynowego strzelali do tych Sowietów, co schodzili z tej góry. Nacierali na nich. Nasze okno akurat wychodziło na południe, jak myśmy patrzyli w te okno, to było strach patrzeć. Oni się kładli, jakby ktoś zbożem..., ciął żyto. Tak ich tam atakowali ci obrońcy. I chyba po tym im zabrakło może tego, czy dowiedzieli się, że to przecież ich tysiące idzie, a oni trzech. Właściwie dwóch ich tam było, Widzieliśmy tylko drugiego, trzeciego nie widzieliśmy. No i poddali się. Ponieśli ręce do góry. I tego pierwszego jednego wzięli i po prostu podnieśli bagnietami. Jak ten drugi zobaczył – w nogi. Przeskoczył przez szosę i przez ten plac zarośnięty kartoflami i tam jeszcze innymi artykułami – uciekł. Oni zaczęli do niego strzelać. Trzech ich się wybrało – i po nim. Na koniec strzelania to on upadał i do nich strzelał. Tak że zanim dobiegł do płotu – przez ten plac to był kawał drogi, przynajmniej z pół kilometra, jak nie więcej – to położył tych dwóch, ten trzeci go dopadł przy płocie, był chyba już ranny. I tam zabił. I ci z palącego się domu wyszli właśnie koło tej jednej prochowni, prawda ten i schowali się, bo to mieli te swoje bety i to wszystko, a ci, który tam rozprawili się z tymi dwoma obrońcami do nich. Ręce do góry i na bagnety. To było strasznie patrzeć na to. Gdyby pan to zobaczył, jak oni wili się na tych bagnietach, ci ludzie, ci mężczyźni... I przyszedli do nas. To było jakieś ze trzysta metrów, może więcej. Nasz dom stał na górcie, tam domy wszystkie były drewniane, a my właśnie robiliśmy ten dom z tych koszar, które były na Robanówce, tam były takie stare koszary.

Ludzie brali tam te cegły, rozbierali i robili sobie domy. I my tożsamo tak zrobiliśmy. I wyciągnęli nas z domu i pod stienku [ros. pod ścianę]. A myśmy zaczęli wrzeszczeć wniebogłosy. Mama też zastoniła ojca, i no, po prostu, akurat w tym momencie znalazł się jakiś oficer – kapitan. I zaczął rozmawiać z rodzicami. Naturalnie po rusku. Ojciec się nie odzywał. Ale mama zaczęła do niego rozmawiać po rusku. Myśmy się za głowę złapali: „Skąd mama zna język rosyjski?”. A przecież chodziła do rosyjskiej szkoły. No, i on się pyta: [niezrozumiałe]? I dlaczego wy strzelaliście z karabinu maszynowego do nich? A mama mówi: „To nie my strzelaliśmy, to strzelali z balonu pancernego”. Bo myśmy, mimo że mieszkaliśmy na górcie, to jeszcze była bardzo wysoko szosa, to było bardzo wysoko, z piętnaście metrów, jak nie więcej. Tak że jak oni strzelają, to nad naszym domem kule przechodziły. I mama mówi, że: „Nie, myśmy nie strzelali, to strzelali z balonu pancernego”. Kule leciały nad naszymi oknami, oni tam ich trochę pozabijali. I dzięki właśnie temu kapitanowi myśmy przeżyli, a tak by nas rozstrzelali. Kazał żołnierzom odejść i chciał porozmawiać z mamą. Bo ojciec nie mógł być słowa wymówić, stał pod tą ścianą. No i mama mówi, że tutaj są kazarmy i z tego balonu pancernego strzelali. A nie u nas, my nie mamy broni, bo my jesteśmy... Nie jesteśmy żołnierzami. Mówi, że ojciec jest elektrykiem, i tak dalej. No i on poszedł, zabrał żołnierzy i poszedł. Na tej drodze przyjechał czołg ruski T-34, czy jak one się tam nazywały, te czołgi, i ulica, na której myśmy mieszkali, Skidelska, to była taka prosto, prosto, prosto, potem szła na ulicę Brygidzką, na której na przy placu stał – dzisiejsza katedra – kościół farny myśmy to nazywali, kościół pojezuicki. Tam było olbrzymie, olbrzymie więzienie, które car zrobił, bo wygonił tych zakonników i tam zrobił więzienie. A kościół został. I właśnie ten czołg strzelał do wież tego kościoła. Dwa razy może wystrzelił. Patrzymy, a on się pali. Ten czołg. Nie wiadomo, kto go podpalił, nie widzieli, żeby ktoś... Ale w każdym razie zaczął się palić. Ci tam chcieli wyjść, no ale już nie wyszli, dlatego że ich zabili. I oni właśnie po tym się mścili. Strasznie się mścili. Jak zdobyli Grodno, to zdobywców... Zrobili obóz koncentracyjny. Ogrodzili cały balon pancerny drutem kolczastym, wysokim płotem i tam wszystkich zamknęli tych żołnierzy. Mogli wychodzić tylko oficerowie. Były takie wypadki, że oficerowie popełniali samobójstwo. Bo jak jedna z żon kapitana przyjechała, przywiozła suchych ziemniaków, swoje własne dzieci jedz, taki u was głód jest. Jak oni zobaczyli, jak my żyjemy, to dosłownie sami słyszeliśmy, kilka tych samobójstw było tych oficerów. Ponieważ myśmy mieszkali zaraz przez ulicę, no, ta ulica była szeroka, gdzieś koło stu pięćdziesięciu metrów od naszego domu, ten balon pancerny, i tam ci oficerowie zaczęli do nas przychodzić. Przede wszystkim ten kapitan, który nas uratował. Potem się okazało, że on jest Ukraińcem. Jego rodzinę rozstrzelali, spalili dom, jak on opowiadał potem, spalili mu cały łan zboża komuniści, a on się przypadkiem uchronił, bo siedział w jakiejś jamie. Jak opowiadał potem, on 3 lata w ogóle nie rozmawiał. Zebrał go do domu dziecka. A czemu? Bo w ustach nosił złoty krzyżyk. Który miał na szyi. Potem pokazywał nam ten złoty krzyż. Waśka Kaplerow. I przychodził do nas, przychodziło kilku tych majorów, nawet myśmy ich zaprosili na Boże Narodzenie, na Wigilię. Jeszcze jeden z nich śmiał się, dzielimy się opłatkiem i mówi: „Nnie jedz tego opłatka, bo będziesz Polakiem”. Oni do nas przychodzili i opowiadali różne rzeczy. A jeden z tych majorów czy się znał z ojcem? Bo ojciec chodził do gimnazjum w Mińsku Litewskim. Nie w Mazowieckim, tylko w Mińsku Litewskim. Oni chyba się znali stamtąd. Mówił do ojca: „Michaił, a myśmy czekali, że wy nas wyzwolicie”. Ten major. To było straszne. Dlatego, że komuniści Żydzi, bardzo dużo ich było w Grodnie, robili listy kogo wywieźć, a kogo rozstrzelać. I to jest strasznie było. Ojciec bał się otworzyć w ogóle zakład, żeby ojca też nie rozstrzelali, ale ostatecznie poprosił tych oficerów, żeby oni mu pomogli. Oni tam jeszcze otworzyli ten zakład i ten Waśka do nas przychodził i mówi tak: „Ja syna ubił”. A ojciec mówi: „Kogo ty chcesz zabić?”. „A naszego dowódcę. On taki komunista, że ja jego ubił”. Przyleciał kiedyś w nocy do nas i mówi tak: „Michaił, ja go ubił”. Czyli on zabił swojego dowódcę. A ojciec mówi: „Czyś ty zwariował?”. Bo tam oni stacjo-

nowali za Niemnem. Na Romanówce. Tam latem zawsze wojsko było. Ja nie wiem jak, bo to nad Niemnem. Na stoku były takie schody olbrzymie. Na tych schodach były pobudowane koszary, i tam latem żołnierze tam byli, Polacy, przed wojną, a oni potem, jak zajęli, to oni tam byli, i on tam właśnie był, i tam obok zaraz był taki wąwóz, myśmy na niego nazywali wąwóz wisielców. Czemu, to nie mam pojęcia. A z drugiej strony była wieś Soły. On wchodził do tej wioski Sołów, do jakiejś baby. I szedł w nocy, a ten miał akurat karabin i wołali do niego: „Stój z tej strony!”. Nie zatrzymał się i go zastrzelili. I mówili żołnierze tak: „Nic nikomu nie mówcie. Mówcie prawdę, jak było, że myśmy krzyczeli, a on się nie zatrzymał”. I właściwie im nic nie zrobili. Jego tylko przenieśli do Lwowa. Tego Waśkę Kaplerowa. Dlaczego do Lwowa? Otóż, mój ojciec, jako kierownik swego zakładu, bo tam kilka ludzi u niego pracowało, pojechał kiedyś do Lwowa i we Lwowie spotkał tego Waśkę Kaplerowa. Przyjechał do domu i mówi: „Nadia, wiesz co? Waśkę Kaplerowa spotkałem we Lwowie. Objął mnie całego, chciał mnie całować. Zaczął płakać ja razem z nim popłakałem się”. Takie były te... Potem, jakoś chyba w 1942 czy w którymś roku... W 1941. Na wiosnę przyleciał do nas ten major, co mówił, że czekali na Polaków, że ich wyzwolą. Mówi tak: „Uciekać z chaty, w nocy po was przyjadą”. Więc my uciekli. Uciekliśmy, gdzie, kto mógł. No, ale mama, co? Wszystko zostawiła w domu, więc pójdzie zobaczyć. Po jakimś czasie poszła zobaczyć i moją mamę złapali i posadzili do więzienia. Och, mam tu zdjęcie. Wsadzili mamę do więzienia, i Niemcy ją wyzwolili z tego więzienia. Tam siedziała ze trzy tygodnie. Żeby nie Niemcy, to... Ale Niemcy, jak szli, to pół Grodna spalili. Dosłownie pół Grodna spalili. I świętej pamięci Korłowicz wołał w kościele. Kościół był spalony, ale wołał w kościele: „Kto żywy, niech przyjdzie, odtworzymy metryki, bo wszystko się spaliło”. Więc rodzice poszli i ukrócili nam wszystkim lata. Młodszemu bratu nie, ale mnie i bratu starszemu po roku. Bo byliśmy za wielcy, ja już wtedy miałem metr sześćdziesiąt cztery wysokości, to mogłem powiedzieć, że mam dziesięć lat. No, i tak to jakoś było, że brata starszego zabrali Niemcy na roboty, ale pracował w Grodnie, buty robił. I to jakoś tak było, że mój dziadek miał jakiś geschäft [niem. interes] z najbogatszym Żydem w Grodnie – Aleksandrem Łapinen. A ten Łapin miał jedyną w Polsce fabryczkę, taką, gdzie robił karty do gry i te wszystkie takie karty na święta, na takie coś, takie różne, jak to się mówi, kieszonkowe, taki do zapisywania. I kalendarze różne takie, takie coś. A on potrzebował drzewa, a dziadek mój z tym drzewem robił jakiś geschäft z tym Żydem. On nawet do nas przychodził, ten pan Aleksandr, oni się nawet po imieniu nazywali, i on do tego dziadka – Michaił, Michał, a dziadek Aleksander na niego mówił, Olek. I nawet ja kilka razy u niego tam w domu byłem, bo jak on przychodził, jego żona coś... Umysłowo. I zawsze prosił: „Nadia, niech pani pójdzie do mojej żony, bo prosi, żeby pani przyszła”. To mama mnie brała ze sobą. Myśmy tam chodzili do tego Łapina. Słyszałem kiedyś, że mówi tak: „Panie Michale, najgorszy człowiek, to Żyd”. Dosłownie tak. Dlaczego? Pismo Święte Starego Testamentu mówi, że kto jest bogaty, musi utrzymywać tego biednego. A pół Grodna Żydów to były wszystko biedne. A on musiał tych biedaków utrzymać. Mówi: „Możesz nie pracować”. Mieszkańcy Grodna byli bardzo wściekli na tych Żydów, co robili te listy wszystkie dla komunistów. Dlatego potem, jak zrobili getto Niemcy, bo były dwa getta u nas: na Slobodce i na Pohulance ogrodzili, i w centrum. Vis-à-vis zamku Batorego. Wszystko było na górach, na górach, na murach takich. I tam były te dwa getta. Getto na Slobodce, to było getto dla Żydów nie z Grodna, tylko z okolicznych miasteczek. A te, co było w mieście, to właśnie było dla tych Żydów grodzieńskich. I potem, jak Niemcy zabierali tych Żydów, to myśmy nawet niektórych chcieli, mieliśmy takiego znajomego Żyda, który grał z nami w piłkę, chodził z nami kąpać się nad Niemen, łapać ryby. On z Żydami nie chce nic mieć do czynienia. Ja nieraz mówiłem do niego: „[niezrozumiałe], jak mama się dowie, że siedzisz u mnie w domu? To co będzie? Będziesz się mył, kąpał? A on mówi tak:”Nie, tata wie, że przychodzę do was”. Myśmy tam grali w szachy. Mieliśmy pełno instrumentów, to graliśmy na tych instrumentach. Ja go

uczyłem na gitarze grać. I chcieliśmy tego Żyda uchronić. On nie chciał. Nie, on pójdzie z rodzicami. I jak wyprowadzili tych Żydów, Grodno puste. Dosłownie, ulice prawie były wszędzie puste. To było straszne. Nas Polaków i tych Białorusinów i Litwinów było mało. Samych Żydów było czterdzieści trzy tysiące w Grodnie. To były miasto Żydowskie, Jak oni mówili: „Wasze ulicy, nasze kamienicy, wasze miliony – nasze miliony”. A potem chodzili po ulicach z gwiazdkami. Razu pewnego ja przychodzę do domu, a u nas siedzi Kazik z gwiazdką. „Kazik jest Żydem?”. „Żydem”. „Po co ty założyłeś tę gwiazdkę? Kto wiedział, że ty jesteś Żydem?”. Bo on koniecznie chciał, jak Niemcy zrobili getto, na Pohulance, to myśmy musieli uciekać z domu. I potem całą okupację niemiecką mieszkaliśmy w domu żydowskim. Nie było gdzie mieszkać, to mieszkaliśmy w tym domu żydowskim. Róg Listowskiego i róg ulicy Witrynowej, w tym domu na parterze myśmy mieszkali. No i wojna. Niemcy uciekali, a sowietci nacierali. Robili te naloty, okropne te naloty. Myśmy siedzieli trzy tygodnie w piwnicy, wszy nas opadły i w ogóle wszystko razem, żeby nie ta krowa, co myśmy mieli, to byśmy chyba umarli z głodu. Bo między ulicami, domami, były w środku takie duże ogrody. Myśmy tych ogrodach, w czasie tego frontu, to myśy tam tą krowę... Ludzie pozwalali, bo mieli mleko. I tak jakoś myśmy to przeżyli, przyszli drugi raz Sowietci do nas. W 1944 roku. Po jakimś czasie... A ojciec dostał rozkaz, ponieważ znał dobrze język rosyjski w piśmie i mowie, żeby wejść do RKU rosyjskiego i żeby wszystkich Polaków wypisać, że są Polakami, bo wszystkich zabierali do wojska. I ojciec jakoś tam się wdrapał. Po jakimś czasie ktoś dzwoni do drzwi. Ja otwieram, patrzę, a przede mną stoi kapitan rosyjski. Twarz miał podrapaną, właściwie nie podrapaną – po ospie. I pyta się: „Gdzie żywiot [ros. żyje] Kazakiewicz?”. Mówię, że nie ma. – „Rabotajeť” [ros. pracuje]. Czy może poczekać na niego?. Jak wołam mamę: „Mama, chodź, bo tu przyszedł jakiś kapitan”. I zaczyna rozmawiać z mamą, bo mama mówi, że jeszcze z godzinkę i przyjdzie mąż z pracy. A w kuchni u nas był piec, vis-à-vis pieca była taka sofa, gdzie zawsze spała ta pomocnica. On wszedł i na tej sofie siedział. Przyszedł ojciec, zaprosił go do pokoju stołowego i zaczęli rozmawiać, że on chce u nas zmieszzać, dopóki nie znajdzie mieszkania. Ojciec mówi: „Przecież całe Grodno wolne, dlaczego...”. Ale nie będzie gdzie mógł jeść, bo nie ma żadnych restauracji na razie. Ojciec porozmawiał z mamą i mówi: „My i tak wyjeżdżamy do Polski, to niech tu mieszka”. I rodzice odstąpili mu swój pokój sypialniany. I myśmy wszyscy na kupę. Rodzice i ja spaliśmy w stołowym pokoju, mieliśmy olbrzymi pokój, taki 36 m². Brat starszy i młodszy spali w swoim pokoju dziecięcym. Były trzy pokoje z kuchnią. Po jakimś czasie znowu ktoś dzwoni. Ja otwieram, a stoi przede mną jakiś pan. Znowu ktoś dzwoni, otwieram. Stoi przede mną i mówi tak: „Gdzie żywiot [ros. mieszka] naczelnik NKWD, jest doma?”. Ja zamarłem. Dosłownie zamarłem. To ten skurczybyk jest naczelnikiem NKWD całej obłości [ros. obwodu] Grodna. Ja wołam mamę. A on mówi tak, że: „On jest sędzią całej obłości Grodna i przyszli się do niego zameldować”. Myśmy dostali takiego stracha. Ojciec przychodzi z roboty, a mama mówi: „Wiesz, kto u nas mieszka? Ten i ten”. On siedział znowu na tej sofie, ten sędzia, doczekał się aż on przyjdzie. Zabrał ze sobą i tam poszli do sypialnianego pokoju. Coś tam pogadali, pogadali. Dopiero wtedy byśmy zrozumieli, że on u nas mieszkał, dlatego że mu powiedzieli, że taki i taki pracuje u nich w tym RKU, że u niego może on zamieszkać. Kto nam tam potem to powiedział? Do niego zaczął chodzić taki Janek, ruski partyzant, który był partyzantem na polskich ziemiach. I on znał już Polaków, wiedział, co, jak i do czego. Taki młody, może ze 30 lat miał. Mówi: „Ty wiesz, kto u ciebie mieszka? Czy ty wiesz, kto u ciebie mieszka?”. No, i tak to jakoś tak było. Po jakimś czasie pyta się tak: „Czy może przyjechać do niego żona z dziećmi?”. Rodzice porozmawiali ze sobą, mówią: „A niech przyjeżdża”. Po jakimś czasie przyjeżdża ta żona. Strasznie. Żeby pan ją zobaczył... Najgorsza bezdomna jest lepiej ubrana, jak ona była. A te dzieci... Żona kapitana. A ten prosi, mówi tak: „Żeby mama uszyła dla niej sukienkę, bo jak ona wyjdzie na ulicę...?”. Kupiły jakiegoś tam perkalu [rodzaj materiału] i mama uszyła sukienkę dla niej. A ja całą okupację niemiecką

szyłem czapki, rogatywki, dla AK-owców. Nie wiem, skąd oni przynosili te koce zielone i z tych kocy, tych zielonych, takich grubszych, szyłem im rogatywki takie polowe. I był nawet taki wypadek, że ja miałem ich z 10 uszytych. Wsadziłem do worka, a nad wejściem była taka... Taka półka. I ja wrzuciłem na tę półkę. Przyszli Niemcy na rewizję. Ktoś doniósł, że ja szyję. I szukali wszędzie, a tam nie zajrzeli. I cały w strachu byłem. Ale po tym te rogatywki to im później..., rowerem jeździłem aż pod Augustów, do Puszczy Augustowskiej, tam mieliśmy... Stamtąd pochodziła babcia. Ze wsi Starożyńce. A Starożyńce były tak daleko od puszczy, jak my tutaj i tu las. Od Puszczy Augustowskiej. I jak ja przywoziłem rozkazy tam do nich, to ten Wacek, co pokazywał, brał mój rower i jechał dalej w puszczy. Tak myśmy się nie spotykali, żeby ja zawiózł na miejsce. Ja nawet kiedyś razem tam z nimi spałem. Rano wstaję – co taki szum? Patrzę, a pełno jej w tym, w tej... Bo ja jak przyjeżdżałem, to ja nie spałem w domu. Spałem w stodole na sianie. Dla mnie to było takie ten..., że ja śpię w stodole na sianie. No, i tak patrzę, a ich pełno. Oni też spali, przyszli w nocy spać do stodoły. Ja nawet jednemu dałem, miałem taki fajny nóż, scyzoryk. Wisiał mi, tak samo jak zegarek, wisiał mi na tym... I pyta się: „A co ty tam masz, zegarek?”. Ja mówię: „Nie, nóż, scyzoryk”. I wyjmuję. On mówi: „Słuchaj, daj mi ten scyzoryk, niech się przyda”. Ja mu dałem ten scyzoryk, temu policjantowi. Tak samo jak woziłem rozkazy do Puszczy Grodzieńskiej. 50 km od Grodna drogą, szosą do Lidy. Też jechałem rowerem i na pięćdziesiątym kilometrze skręcało się do takiego miasteczka Kamionka, przez taki wielki, straszny las. Jak się wjeżdżało w ten las, strach brał. Jak Puszcza Augustowska taki był ten las. Zaraz za tym lasem był taki strumyk i ta droga przechodziła przez taki drewniany most. I zawsze myśmy tam się spotykali, na tym moście. Ten partyzant czekał na mnie. Ja przyjeżdżałam, on brał rower i dalej jechał. Kiedyś mnie ochrzanił, bo godzinę się spóźniłem. A ja mówię, że były łapanki na drodze to ja się bałem jechać. Każdy musiał mieć swój odzew... Ale oni zmieniali, co inaczej, to inny był odzew. Kiedyś przyjeżdżam i pytam się: „Jak tam ryby, biorą się?”. A on siedział z wędką, niby z wędką, pod tym mostkiem. On nie wiedział, że to ja. I musiał odezwać się, że ryby pływają po wodzie, a nie mogę złapać. Takie coś, mniej więcej. Tak to było. Po tym jak myśmy się dowiedzieli, że on jest tym naczelnik NKWD i ta żona jego przyjechała... Proszę pana, żeby pan zobaczył tę kobietę. Najgorszy łachmaniarz tak nie chodzi, jak ona. Jak mama robiła posiłki, to ona siadała na tę kozetkę i pytała się: „A szto eto [ros. co to], a szto eto, a szto eto?”. Patrzy i mówi tak: „U nas takie... kartoszki w szupipach [kartofle w łupinach]...”. Masło maczali do tego masła, i masło, to znaczy olej, maczali do tego oleju, i tak jedli. Takie były posiłki, tak opowiadała. Straszne rzeczy. Jak uszyła mama sukienkę, dziecko nie było takie radosne z zabawek, jak ona z tej sukienki. I ze zwykłego perkalu uszyła. To było straszne, to było nie do powiedzenia. Jakoś tak dosyć nawet ojciec się z tym kapitanem kłócił. Było takie coś, że Boga nie, duszy nie i tak dalej. Że jak człowiek umiera, to dusza się rozplywa, tak jak para wodna w powietrzu. Ojciec pytał: „A kto to tak napisał?”. A on mówi: „U nas w encyklopedii jest napisane. Encyklopedia mówi zawsze prawdę”. Akurat gotowała się woda w czajniku, a ojciec podnosi i mówi: „Podpal! Widzisz? I tak mówię, że się dusza rozplywa. Twoja i moja”. I jakoś tak było Boże Narodzenie, Wigilia, a u nas była taka moda jakoś w rodzinie, że u najstarszego syna była Wigilia, u następnego syna był pierwszy dzień, a u trzeciego syna był drugi dzień. I tak myśmy chodzili, a nas się zbierało około pięćdziesięciu cała rodzina. Wszyscy stryjkwowie, i dzieci, to wszystko. No, ale przecież ich też trzeba było zaprosić. Oni nawet nie wiedzieli, jak siedzieć przy tym stole. Mieliśmy taki komplet srebrnej zastawy, sztucce srebrne, i też były takie, gdzie się kładło nóż, widelec i łyżkę, taki koziołek, taki też srebrny. Oni tak patrzyli na nas, oni nawet nie umieli trzymać widelca. Nie wiedzieli, co to jest. Takie rzeczy. Nie do opowiedzenia, to trzeba to przeżyć. To straszne rzeczy. Po tym ten kapitan mówi tak do sąsiada na górze: „Michał nie pojedzie w Polszu, on pojedzie na Sybir”. Taki był skurczybyk! My go przyjęli, karmili cały czas całą rodzinę, a on? Jak już przyszło wojsko polskie do Grodna,

ojciec porozmawiał z tymi dowódcami. Byliśmy przygotowani do wyjazdu, tylko trzeba zawieźć wszystko... Ojciec mówi tak: „Słuchajcie, ja jadę z wojskiem. W Białymstoku będę na was czekał”. I pojechał z wojskiem. A my załadowaliśmy się i wywieźli nas. Myśmy się zapisali do... Bo to trzeba było napisać, gdzie chcesz jechać. Myśmy się zapisali do Bydgoszczy. Ojciec nas spotkał w Białymstoku, kupiliśmy w Białymstoku cały wagon, aby był drugiej klasy, bo tak myśmy jechali w tych wagonach bydłęcych, a za wódkę u ruskich kupiliśmy i jeździliśmy po Polsce całej. Przyjechaliśmy pod Toruń. Strzały, wystrzały, co się dzieje? Naloty czy coś takiego? Myśmy stali przed Toruniem. Pobiegli dopytać się, przybiegli i mówią: „Wojna skończona, koniec wojny”. Państwo nie zdaje sobie sprawy, jak myśmy wszyscy płakali. Przyjechaliśmy do Bydgoszczy i poszliby do tego [niezrozumiałe], ja starszy brat i ojciec. A oni nas tak witają: „My chamów zza Buga nie przyjmujemy”. Tak nam powiedzieli... Ojciec tak jak się rozstawił, wszyscy pouciekali, tak ich ochrzanił. Wyzwał ich od folksdojczów, od Niemców, wszystkich i tak dalej.. No i po tym co? Nie zostajemy w Bydgoszczy, jedziemy gdzieś szukać miejsca. I tak myśmy jeździli. Ale przyszedł starosta z Bydgoszczy do naszego tego, jak to się mów po rusku szafonu [wagonu], i pyta się, czy może jest taki, który by nam uruchomił elektrownię, bo Niemcy wysadzili w powietrze. A oni mówią: „Kozakiewicz kiedyś robił elektrownię w tym...”. Nad Bugiem miasteczko, zapomniałem, jak ono się nazywa. „I robił też elektrownię w tym...”. Tak to jest, że nie zapamiętałem. Tam też widziałem tego Piłsudskiego w tym miasteczku nad Niemnem. Chodziliśmy sobie z ojcem, a ojciec mówi: „Popatrz się, dziadek siedzi, dziadek siedzi!”. „Gdzie dziadek?”. Patrzymy... „No gdzie dziadek? No Piłsudski”. To jest takie miejsce wczasowe, bardzo dobre. W Druskienikach. I tam właśnie też ojciec robił tę elektrownię. I mówi tak: „Tam Kozakiewicz obrobił dwie elektrownie, tu się zna na tym”. Przyszedł do nas i prosił: „Dostaniecie mieszkanie, meble, w ogóle wszystko, tylko niech pan zostanie”. A ojciec mówi tak: „Tu, u was? Żeby miliony dawali, to nie zostanę. Co powiedzieli wasi urzędnicy? Że chamów zza Buga nie przyjmują”. I tamten aż podkoczył. Ojciec mówi: „Tak, w waszym biurze. Bo myśmy tam byli, żeby się zameldować, a oni nam tak powiedzieli, że chamów zza Buga nie przyjmują”. Ludzie... I myśmy tak jeździli. A potem przyszedł transport, że jadą do Szczecinka Wielkiego. To myśmy się przyczepili do tego transportu i przyjechaliśmy do Szczecinka. Czerwiec 1945 roku. I w tym Szczecinku myśmy zostali. Ale to jeszcze była taka komedia. Mieszkaliśmy w takiej wielkiej szkole. Na razie, bo to wszyscy potem szukali sobie mieszkań. A babcia mówi tak: „Co to za miasto? Tutaj nie ma teatru! Nigdy nie pójdziesz nawet do teatru, bo nie ma gdzie. To jak my tu będziemy mieszkali?”. Ma pan pojęcie? Teatru nie ma, to nie chce mieszkać. A tatuś mówi tak: „Mamo, ja już nigdzie nie jadę. A w Szczecinku jest piękne jezioro”. Pięknie park był, bardzo ładny park był. Teraz tylko została połowa tego parku. I tak myśmy zostali w tym Szczecinku. I wszyscy, cała rodzina leży w Szczecinku na cmentarzu. Teraz ostatnio, 6 grudnia pochowałem siostrę stryjeczną którą, notabene, wozilem w wózku. Młodsza ode mnie o 12 lat. I byłem w Szczecinku właśnie na pogrzebie. Ona mieszkała w takim miasteczku pod Poznaniem. Jakoś się to nazywa. Amnezja nie do powiedzenia... I tam właśnie mieszkała, tam zmarła. I w Szczecinku... Syn mówi: „Tu wszyscy leżą, to gdzie tam mamę będzie chował w Poznaniu, jak tu wszyscy leżą, cała rodzina”. I tutaj w Szczecinku jest pochowana. Ja tam byłem na tym pogrzebie i ostatni raz w tym Szczecinku. W 1949 roku pojechałem do małego seminarium. W 1950 roku mnie wyrzucili na zbity łeb. Dlaczego? Nasze seminarium miało mistrzostwo w siatkówce. Graliśmy w siatkówkę. I tutaj nawet jest, który grał, nie może chodzić, na górze mieszka. A ja wyszedłem bez licentki. Trzeba było mieć licentkę, przepustkę. Ja poszedłem bez licentki. To znaczy, że jestem wtyczką SB. I mnie wyrzucili. Musiałem robić maturę... Pół matury zdawałem w Koszalinie, a pół matury zdawałem w Szczecinku. Takie cuda były. Jak zdałem maturę, po 10 latach zawitałem do seminarium. W Gościkowie. Dyrektor mówi tak: „My takich starych nie przyjmujemy. No, ale że pan już był w małym seminarium, to na próbę przyjmujemy pana”. I tak na próbę

przyjęli. W 1965 roku, dwudziestego czerwca wyświęcili mnie na kapłana w Szczecinku. No, i tak chodzę. Gdzie biskup pośle, tam człowiek jedzie. Miałem też taką scysję nad morzem. Jeszcze była ta wielka nasza diecezja, a właściwie to nie była diecezja. Taka nasza administracja apostołska. Pracowałem nad morzem, w takim miasteczku małym. A tam był taki ksiądz Czerwonny. Nie i koniec. Za to, że tam mieszkałem bez zameldowania, bo nie chcieli mnie zameldować, na 3 miesiące więzienia. W Kołobrzegu mnie osądzi. Albo półtora tysiąca zapać. Ludzie jak się dowiedzieli, zebrali te półtora tysiąca złotych, dali mi i mówią: „Niech ksiądz zapłaci”. A my wiemy, jakiego mamy księdza. Bo po tym stamtąd przenieśli mnie do Polic. Tam, gdzie ta wielka fabryka była chemiczna, Niemcy mieli, olbrzymi teren był. A z Polic pojechałem do Słupska. A w Słupsku przyglądaliśmy się w telewizji, jak Amerykanie zdobywają Księżyc. W 1968 roku. No, i tak to było. Ostatnio pracowałem tu w Zielonej Górze, u Zbawiciela. Stąd poszedłem na parafię do Zwierzyna koło Strzelec Krajeńskich. Taka duża wieś jest. Ponad półtora tysięcy ludzi tam mieszka, trzynaście ulic ma. No, i tam budowałem, bo to dopiero zrobili tą parafę. Budowałem i kościoły remontowałem, przebudowywałem z gliny... Pokazywałem panu plebanię piękną. Dostałem zawatu. Może mało pracy było. Proszę sobie wyobrazić, miałem budowę, 36 godzin lekcji religii w ciągu jednego tygodnia. Nawet niedzieli nie miałem wolnej, bo miałem dwie lekcje religii z młodzieżą w Żółwinie i Bośnicy. Tam w Bośnicy właśnie dostałem zawatu. No, i potem już taki byłem do niczego. Nawet nie skończyłem całego remontu w kościele parafialnym, zostawiłem następnemu proboszczowi, ale oddałem swój fortepian temu człowiekowi, który robił mnie ten kościół. On mnie robił wieże. On nakrył już po tym to i z dźwigiem postawił i przykręcił śrubami, bo wszystko było przygotowane. Ja tam byłem dwadzieścia dwa lata tym proboszczem. Jak przyszedłem, to miałem niecałe sześć tysięcy komunii świętych rocznie, a ja wyjeżdżałem, to ponad osiemnaście. Jakoś troszkę się tam coś zrobiło, przebudowy tych kościołów całych...